

Z lwowskiego bruku.

(Mój sen wigilijny).

Na Lwów spływał, w osłonie lekko prószącego śniegu, cichy, uroczysty wieczór wigilijny...

(No! jeszcze jedna nowela wigilijna — pomyślicie. Cierpliwości! Wnet przejdę do faktów, które — przyznam się — nawet mój pozytywny, kronikarski światopogląd powiesiły na boże drzewko fantazyj). Miasto prawie już opustoszało — tylko w centrach ruchu drgało jeszcze gorączkowe, przedświąteczne ożywienie. Ostatni ojcowie za ostatnie pieniądze kupują ostatnie podarki na drzewko — po ich wyjściu przeraźliwe opuszczanie żelaznych żaluzji zwiastuje odpoczynek ciężko spracowanym sklepom. Tłumy z ludnych przed chwilą ulic, wpadają jak ćmy, w ciepłe ogniska rodzinnego żywota.

Wtulony w pożyczone futro stałem na kopcu wysokiego zamku, trzymając się silnie symbolicznego drąga polsko ruskiego przymierza. W chwili tej, gdy chłodny, północny wiatr i śnieżnica były siłą, całą w świeżo zlepione szkarpy pagórka — uwierzyłem gorąco, bez zastrzeżeń (pierwszy raz) w zdolności miejskiego urzędu budowniczego. Pragnąłem, by wbrew wszelkim podnoszonym zarzutom — plany magistrackiej rekonstrukcji okazały się najgenialniejszymi w świecie...

Z wysokości wzniesienia, przez zawiej śnieżnych płatków, spoglądałem na powierzone mej opiece miasto. Białe płaszczyzny śniegu otulały je świąteczną ciszą wieczoru. Życie drgało tylko w milionach rozelśnionych okien. Jakżebym chętnie znalazł się teraz gdzieś w zaciszu przy napalonym piecu i jaśniejącym drzewku! Począłem marznąć, zerwał się ostry, zimny wicher.

No, dobrze panie Gips — zapytacie — ależ po co pan wylał na kopiec? Najbardziej znarowiony dekadent, w takie święto się myje, kupuje czysty kołnierz i idzie zmiatać pierogi do strasznie filiasterskiej cioci. Więc?

Korzystając z tego, że wszyscy lwowscy reporterzy, wzięwszy urlop i zaliczkę, rozciągnęli się wygodnie na łonie rodzinnym — chciałem skorzystać z raz tylko w roku nadarżającej się sposobności, by interwiewować anioła, który z pierwszą gwiazdą miał się pojawić we Lwowie. Trzeba było wybrać do tego przedsięwzięcia punkt najwyższy we Lwowie i chwilę, dopiero co przezemnie w tak rozrzucający przedstawioną sposób.

Z lornetką krajowego wyrobu w ręku a lękiem w sercu oczekiwałem jasności, mającej się na niebie ukazać, a z nią i ważnych wydarzeń.

Śnieg ustał padać. Niebo, jak to robi zwykle

z sympatii dla autorów nowelek gwiazdkowych, poczęło się wyjaśniać i z ołowianego, pochmurnego tonu przechodziło z wolna w głębię ciemnego granatu. Oto i pierwsza gwiazda!

Zadrżałem. W przestworzu dała się słyszeć daleka muzyka harf anielskich — słodka i upojna. Nagle uczułem lekki a przecie wyraźny szum — jasność rozświetliła przestrzeń — koło mnie stanął wielki, biały anioł pokoju...

— Dobrze Gips, że jesteś.

Głos mi zamarł w gardle ze wzruszenia.

— Cóż mi więc powiesz o Lwowie? Czyż mogę zejść na miasto z dobrą nowiną? Zasługuje-li ono na niebieskie łaski?

Ważność chwili nakazywała mi opanować w okamgnieniu wzruszenie. Rozpocząłem więc zdawna przygotowaną przemowę do niebieskiego gościa:

— Wysłańcze niebios! Miasto nasze, jak nigdy dotąd, stoi na najwyższym szczyśle cnoty i bogobojności. Że wskażę tylko na nieprzeliczone, wzniosłe dzieła ubiegłego roku...

— Nie jesteś przyjaciela referentem na zgromadzeniu. Mów do mnie prosto, bez okras. Ale jak widzę, tu u was straszne przeciągi. Zejdźmy do miasta, a po drodze opowiesz mi wszystko i wskażesz, co potrzeba.

Zeszliśmy więc po osamotnionych, ciemnych alejach wspaniałego zamku. Tu i owdzie majaczyła pod płótnem skulona postać.

Po chwili weszliśmy w miasto. Chciałem wypełnić me zadanie jak najlepiej. W myśli przebiegałem wszystkie wielkie dzieła stolicy w ciągu ubiegłego roku — i nie wiedziałem od czego zacząć. Płatały mi się w głowie jatki z galerią obrazów, wystawa higieniczna z kinematografem, tani opał z uniwersytetem, jaegermanówki z tramwajem elektrycznym... Z zadumy wytrącił mię słodki głos mego towarzysza:

— Jakże, to u was pociągi kolejowe jeżdżą przez ulicę?

— Wysłańcze! To jest ta sławna rampa na Żółkiewskim, o której i w niebie musieliście słyszeć... Byli już w tej u nas sprawie przeróżne komisye, ankiety, obrady, było 12 wypadków nieszczęśliwych w ostatnim roku.

— A cóż to znów za pudło?

— To nasz tramwaj konny. Wnet go jednak zmienimy na elektryczny, tylko sprawa wyjdzie z komisji magistrackiej... Mięso z koni pójdzie na zwalczanie drożyzny.

Poszliśmy wzdłuż ulicy Żółkiewskiej, nie wzdłuż na opustoszałych ulicach żadnej sensacji. Z za przymkniętych drzwi szynków dolatywały wesole odgłosy zabawy. Na harmonii grano w dość skocznym tempie kolendy.

— Także to u was obchodzi się wieczór święty?...

— Panie — odrzekłem ze wstydem — przejdźmy w głąb miasta, nie sądź nas po tych zaunkach.

Właśnie do jednego z tych wesołych przybytków szło dwu ludzi, dźwigając ciężkie tłumaki.

— To pewnie zbiedzeni podróżni...

— Nie panie, to złodzieje — niosą do blatnika złowione rzeczy.

— A gdzie jest u was jakaś straż?

— Policya? Policya ma dziś wzmocniony posterunek pod konsulatem i uniwersytetem.

— Zaiste, wróć ja w górę... Nie mam tu wiele do roboty...

— Panie! cierpliwości! Przecie nie widziałeś żadnego jeszcze z dzieł w dobrej woli poczętych...

Oto spójrz — tu ojcowie miasta złożyli tysiące sągów drzewa na opał dla biednej ludności.

— Tak, ale dochodziły mnie skargi w niebie, że opał jest drogi, mokry i o niepełnej wadze. Wozy zaś jeżdżą tylko po bogatszych ulicach.

— Przejdźmy do miasta...

Byliśmy już w ulicy Teatralnej.

Tu odechnąłem lżej — wskazując na gmach miejskiego muzeum przemysłowego, rzekłem:

— Tu mieści się największe kulturalne dzieło nasze z tego roku. Nabyliśmy wspaniałą galerię obrazów, którą niedawno specjaliści z Wiednia ocenili na tysiące...

— Kilogramów płótna. Szkoda, że nie porobiliście z niego sienników dla przytuliska brata Alberta...

Pokazywałem jeszcze Wysłańcowi z nieba stragany, gdzie się sprzedaje tanie mięso — pokazywałem piękne i okazałe gmachy nowych secesyjnych kamienic — nowe linie tramwaju do Kulparkowa, nowe gimnazja, nowe sikawki w magistracie — wydłubywałem mozolnie z pamięci wszystko, czem tylko Lwów mógł się poszczycić. Towarzysz mój nie był zadowolony... Byłem bliski rozpacz.

Zaprowadziłem go do ratusza, gdzie na podwórzu w osmnastu skrzyniach były nieprzeliczone akty grodu naszego:

— Panie, spójrz, co my zamierzamy jeszcze zrobić. Oto są wnioski, odesłane do różnych komisji...

A na to uśmiechnął się pogodnie Poseł dobrej woli i rzekł:

— Tym razem przebaczę wam, albowiem wy jesteście tylko... głupi.

I zajaśniały weselem wszystkie rozświetlone okna. Wieczór święty zeszedł na Lwów.

Jerzy Gips.

Trafiła kosa na kamień.

Powieść na tle aktów policyjnych paryskiej, napisał W. K.

6

ciąg dalszy.

— Ha! ha! — zaśmiali się kapitalista i malarz — jaki on zabawny, gdy tak deklamuje.

— Śmiecie się, śmiecie, ile wam się podoba, ale już bezemnie. Już mi tego za wiele.

Dr. Hargenrötter rzucił na mówiącego przenikliwe, kłujące spojrzenie i z wolna, stanowczo, głośno zapytał:

— Czego ci za wiele?

— Idź precz odemnie człowieku, czy dra...

— Milcz! — przerwał doktor stłumionym, ale energicznym głosem.

— Precz odemnie — powtórzył Jacques. Dość tego. Ta szulerka ustać musi i ustanie. Do mojej woli was nie puszczę.

— Nie wielkie to dla nas nieszczęście — bąknął malarz.

— Ej, on tylko żartuje, — zawołał kapitalista.

— Do krośset dyabłów, nie żartuje. Idźcie sobie na cztery wiatry. Z tobą doktorze załatwię prędko rachunek, tylko powiedz, gdzieś podział moją siostrę. Słyszysz? pytam się, gdzieś podział moją siostrę?

Wszyscy spoważnieli, umilkli. Nastąpił ponury spokój, jak przed burzą; oczy zwróciły się na doktora. Ten stał spokojny, marmurowy; na twarz dobyło mu się z głębi duszy potężne skupienie i napięcie energii i woli. Rzucił na Jacquesa kilka spojrzeń przeciągłych, wulkanicznych, tłoczących i Jacques nie dotrzymał oka, spuścił je, ręce mu opadły, jakby go jakiś bezwład ogarnął. Widząc to buchalter, podniósł się i z niejakim wysileniem powiedział:

— Trzeba raz skończyć. Ja muszę powiedzieć wszystko.

— Milcz! — krzyknął doktor — milcz, rozkazuje. To, co byś powiedział, byłoby szczekaniem psa. Milcz! — powtórzył.

Buchalter zamilkł, usiadł przerażony i trząsł się febrycznie. Kasyer rzucił pogardliwe spojrzenie na buchaltera i zaczął mówić zimno, szyderczo, zwracając się do Jacquesa:

— Zapewne zapomniałeś o niejednym, o czem pamiętać by ci należało. Pozwól, że ci przypomnę, a uważaj dobrze, bo tych przypomnień będzie nie mało. Naprzód sam uknułeś plan uprowadzenia córki twego opiekuna i nakłoniłeś nas, abyśmy ci ten plan wykonać pomagali; przyrzekłeś nam każdemu z osobna po milionie franków — jeżeli się nam uda nakłonić pannę Blanc do zerwania z hrabią, a do oddania tobie swej ręki. Utworzyłeś straż czuwającą nad tem, ażeby pobytu panny Blanc nawet sam dyabeł nie odkrył; twoi zaufani czuwali nie tylko w Paryżu, ale i na całej drodze z Paryża do Anglii; z twojego rozkazu zamordowano przez pomyłkę jakiegoś agenta z Orleanu, z twojego rozkazu stało się, że detektyw angielski runął z balkonem do Sekwany. I teraz masz odwagę czynić nam jakieś wyrzuty, objawiać niezadowolnienie? To zaczyna być zabawne.

Jacques słuchał tego otrętwiały, w głowie mu się mąciło, zdawało mu się, że śni. Skupiał pamięć i rozum, ale nie znachodził odpowiedzi na pytanie, jakim sposobem się to stało. Chwilami zdawało mu się, że to wszystko było snem i że teraz śni jeszcze; to znówu jakieś mgliste wspomnienia potwierdzały opowiadanie kasyera.

— Ależ to straszne, podłe, nikczemne. Ja tego uczynić z własnej woli nie mogłem — krzyknął Jacques i zerwał się z miejsca.

Na to przyskoczył do niego doktor, ujął go za ramię i rzekł rozkazująco:

— Siadaj! Skoroś poszedł z nami tą drogą, dalej iść musisz! czy chcesz, czy nie chcesz. Co fać się nie możesz, bo ci na to nie powolę.

— Dość tego. Nie pójdę z wami! raczej kula w łeb!

— E, nie potrzebnie nas straszysz, mój chłopcze — rzekł doktor ironicznie. Tego nie uczynisz, boś tchórz.

Jacques zerwał się, przyskoczył do doktora, jakby go chciał pięścią uderzyć, ale w tej chwili wszedł służący hotelowy i przyniósł najświeższe dzienniki. Jacques wziął jeden z dzienników do ręki, przepatrzył go prędko, natrafił na jakiś ustęp ciekawy, przeczytał go z uwagą, poczem wybiegł do przepokoju i zdjąwszy paltot z wieszadła, gotował się do wyjścia. Doktor pospieszył za nim i udając, że mu pomaga w ubraniu paltota, dotknął dłonią jego skroni. Pod tem dotknięciem Jacques podniósł rękę, jakby chciał doktora odepchnąć, ale wnet ręka opadła i Jacques wrócił do pokoju, jak ubezwładniony, machinalnie się poruszając. Doktor podsunął mu krzesło, ponownie dotknął się jego skroni i usiąść rozkazał. Potem wziął gazetę, przeczytał ów ciekawy ustęp, który Jacques tak interesował, a potem rzekł do niego:

— Siedź spokojnie i słuchaj.

Jacques zwrócił oczy na doktora i posłuszny, gotów był do słuchania, a doktor czytał: „Szczególny zamach. Przewczoraj wieczorem stało się coś niezwykłego na Sekwanie, niedaleko kościoła Notre-Dame. Przechodnie usłyszeli jakiś niezwykle łomot, a równocześnie taki szum i plusk w rzece, jakby do niej coś wielkiego spadło z wysokości.

(Ciąg dalszy nastąpi)